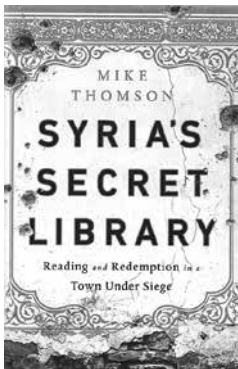


## Z LEKTUR ZAGRANICZNYCH

Śledząc bieżące publikacje drukowane oraz internetowe z zakresu wiedzy o bibliotekarstwie, a także z obszarów pokrewnych, dostrzegam w praktyce zagranicznej pogłębiający się rozpad jakościowy. Nadmiernie przybywa wypowiedzi nijakich albo nawet całkiem nędznych, coraz mniej z kolei zauważa się głosów pobudzających i konstruktywnych. W relacyjnych sprawozdaniach ogólnych (jak tu) trudno jednak skłaniać się tylko w jednym kierunku – przynajmniej tak myślę – dlatego i tym razem proponuję wizerunek dwuwymiarowy.

Co nie przeszkadza, że z dodatkowym smutkiem zauważam jakościowe pęknięcie okołobibliotecznych wypowiedzi za naszą wschodnią granicą. Przede wszystkim w Rosji, gdzie przecież trafiały się opinie rozumne i pożyteczne. A jeszcze gorzej jest na Białorusi i na Ukrainie. Liczę, że tym razem wyboru marnego dokonałem przypadkowo i może w przyszłości znowu trafię tam na refleksje warte uwagi. A już inna sprawa, że obecnie samo sprowadzenie książek z Rosji, w sensie fizycznym, okazuje się trudniejsze, niż kiedyś z Zachodu.



### O BIBLIOTECE OPOWIEŚĆ WSTRZĄSAJĄCA [\*\*\*\*\*]

Mike Thomson: *Syria's Secret Library. Reading and Redemption in a Town Under Siege*. New York: PublicAffairs, 2019, 307 s. ISBN 978-1-5417-6762-1.

To jest teraz najpowszechniej znana na świecie książka o bibliotece, uhonorowana nagrodami. Napisał ją kompetentnie i niebywale emocjonalnie Mike Thomson, angielski reporter telewizji oraz radia BBC. Nie ma charakteru naukowego, ale dokumentacyjny i relacyjny: to w znacznym stopniu reportaż oraz postreportaż. Jestem w pełni przekonany, że trzeba tę książkę zakwalifikować do kanonu współczesnej wiedzy o bibliotekarstwie. Nie tylko zawodowej, ale w ogóle powszechnej.

Thomson – w pierwszej fazie starć był na miejscu i widział – opisał walki, jakie w 2011 r. (trwały do 2016) wybuchły w syryjskim, sunnicko-chrześcijańskim mieście Dora (Darayya), przeciwko dyktatorowi Asadowi. To miasto w pobliżu Damaszku w spokojnych czasach słynęło z dobrych lodów, drobnego handlu i rzemiosła, sympatycznych kafejek, a także korupcji. Wśród 90 tys. mieszkańców było wielu studentów – bo taniej a blisko damasceńskich uczelni – i to głównie oni wzięli na siebie ciężar walk.

Na początku miały miejsce krwawe masakry ze strony armii rządowej. Były bombardowania, ataki czołgów oraz gazowe; miasto w znacznym stopniu zburzono i odcięto od reszty kraju. Zginęło wtedy ok. 15 tys. osób, znacznie więcej uciekło, ale wojska rządowe zostały zatrzymane.

Dominująca wśród obrońców miasta młodzież nie przestawała myśleć, co będzie robić potem. To szczególna okoliczność stymulująca. Kiedy więc zaczęły pojawiać się takie możliwości, w intencjach na później, w piwnicy zbombardowa-

nego domu utworzono bibliotekę. Nie, nie jakieś dziadostwo ani surogat, ale autentycznie piękną i świetnie wyposażoną – są zdjęcia – tyle tylko, że zabudowaną regałami po sam sufit. Była odwiedzana przez 20-30 osób dziennie, a z czasem liczniej i zyskała sobie ogromny aplauz.

Wyposażenie, a także zasoby książkowe, zbierali studenci oraz uczniowie szkół średnich, gdziekolwiek się dało – w przerwach pomiędzy udziałem w walkach. Z piśmiennictwa gromadzili wszystko, co udało się znaleźć i dostarczyć do biblioteki, bez żadnej cenzury (która poza tym w całej Syrii szalała, tak po stronie rządowej, jak też islamsko-ortodoksyjnej). Zasoby miały służyć i służyły edukacji oraz refleksji, ale także relaksowi, przynajmniej na czas, kiedy oni oraz inni nie brali udziału w walkach.

Książki przynosili, a czasami przywozili, dopóki była taka szansa, skąd się dało i umieszczali w bibliotecznych podziemiach budynku. Powtórzę: to, co widać na fotografiach, to jest piękna biblioteka. W samych książkach zaś umieszczano adnotacje, gdzie zostały znalezione. Z nadzieją na zwrot właścicielom. Kiedyś...

Przez cały czas brakowało wody i jedzenia, mieszkańcy radzili sobie z trudem. Internet był dostępny i funkcjonował tylko na obrzeżach miasta. Natomiast w bibliotece użytkowników przyjmowano zawsze.

Miasto stanowiło już jedną wielką ruinę. Kto został – mieszkał i żył w tej ruinie właśnie. Natomiast akurat biblioteka nie była w rujnacji. Generalnie, próbowano jakoś egzystować razem. Wybrano miejskie władze: demokratycznie, zatem inaczej niż w całej Syrii. No i te władze wzięły udział w uroczystym uruchomieniu biblioteki.

Bibliotekę wymyślili, zorganizowali od podstaw oraz wypełnili sprzętem i książkami studenci, a także uczniowie szkół ponadpodstawowych, pełniąc następnie dyżury obsługowe i sprawując pieczę nad funkcjonowaniem. Według tego, co pisze Thomson: zaskakująco profesjonalnym. Oprócz gromadzenia zasobów i opracowania – bez jakiegokolwiek cenzury zakresowej, co w świecie arabskim nigdzie nie ma miejsca – oraz udostępniania na wynos, w bibliotece funkcjonowała też czytelnia, odbywały się spotkania dyskusyjne, była nawet herbaciarnia. A w porach wzmożonego ostrzału lub bombardowania zdarzało się, że dzieci zostawały w bibliotece na dłużej. Niekiedy na całą noc.

Zdaniem Thomsona, wszyscy mieli świadomość, że kiedyś wiedza będzie potrzebna. Zarówno ogólna, jak i wyspecjalizowana, toteż zasoby kształtowano z takim właśnie założeniem – o ile można było mieć na to jakikolwiek wpływ. W wysokiej cenie była też literatura piękna, z Szekspirem oraz Coelho na czele, ale swój obieg miały też poezje autorów arabskich. Taka lektura – dopełniona opowieściami rekreacyjnymi (Agatha Christie) – pozwalała na chwilę oderwać się od rzeczywistości, zlokalizowanej o kilka metrów wyżej. To naprawdę działa w ten sposób: sprawdziłem osobiście podczas powstania w Warszawie. Tyle, że w Darajji trwało to wielokrotnie dłużej.

Wybrane władze tego, to wciąż uważano za miasto, zorganizowały edukację, na ile to było możliwe. Znalazły się nawet nauczycielki, natomiast brakowało podręczników oraz lektur. No i pod tym względem biblioteka okazała się bezcenna.

Jednak z zewnątrz nie było żadnej pomocy. Świat sygnalizował, że nie wspiera ani Asada, ani ortodoksyjnych islamistów. Jedni i drudzy nie mieli w Darajji

nic do gadania, ale to nikogo nie obchodziło. Ludzie głodowali, masowo umierali, ale usiłowali też jakoś żyć. Pobierali się, bo zostali głównie młodzi, oraz rodziły się dzieci. Z tego powodu podtrzymywano surogaty szkół a także funkcjonowanie biblioteki.

Ale od 2015 r. Rosjanie doposażyli armię Asada w nowe samoloty i odtąd bombardowania przybrały charakter likwidacyjny. Pod koniec 2016 r. miasto nie mogło już bronić się dłużej. Upadło i rozpoczęto ewakuację mieszkańców jeszcze tam pozostających.

Jedni trafili do obozów kontrolowanych przez rząd. Inni natomiast – w rejony opanowane przez skrajnie islamskie siły rebelianckie. Ciekawe, że to właśnie tam przystąpiono do tworzenia bibliotek, tyle że wyłącznie objazdowych (na furgonetkach) i z piśmiennictwem li tylko proislamskim. Chętnych do korzystania były tłumy. No i również tam ludzie tworzyli sobie jakieś wizje przyszłości, z czasem redukowane przez kolejne najazdy sił rządowych, wspieranych przez koalicję z Rosjanami.

Bibliotekę w Darajji żołnierze Asada odkryli zupełnie przypadkowo i dopiero po jakimś czasie. Akurat była tam ekipa CNN – mająca fotografować zwycięstwo dyktatora – ale sfilmowała barbarzyński a bezinteresowny proceder niszczenia książek. Kolejny w światowych dziejach piśmiennictwa i bibliotekarstwa.

Thomson z najwyższym szacunkiem i niebywałą sympatią odniósł się do poznanych tam osób i przedstawionych postaci, śledząc ich losy także po wyjściu z Darajji. Z gorącą akceptacją zmagają, jakie wszyscy podjęli w tych dramatycznych okolicznościach życiowych. Nie opuszczając rąk i nie popadając w próżnię.

A w całej tej opowieści biblioteka jest atrybutem bardzo ważnym: doniosłym kontekstem i pierwszoplanowym narzędziem. Rozstrzyga o sensie bieżącej egzystencji! I tak to napisał nie bibliotekarz przecież, ale wnikliwy obserwator, a przy tym serdeczny i mądry człowiek.

Już ponad sześć dekad czytuję książki o bibliotekarstwie w rozmaitych językach. Ale tekstu równie przyjaznego i sygnalizującego wartość tego, czemu ten zawód i te instytucje służą, nie zdarzyło mi się przeczytać jeszcze nigdy. Dlatego uważam, że Mike Thomson zasłużył sobie na szczególnie głębokie podziękowanie.



### CHŁOPCY Z ZAPAŁKAMI [\*\*\*\*\*]

Jiří Trávniček:

*Kulturní vetřelec. Dějiny čtení – kalendárium.* Brno: Host, 2020, 272 s. ISBN 978-80-275-0245-5.

Wybitny czeski znawca problemów komunikowania, w szczególności piśmienniczego, oraz czytelnictwa, prof. dr Jiří Trávniček z Brna i Pragi, wymyślił i opublikował książkę niebywałą. Oto mianowicie kalendarium najważniejszych wydarzeń z zakresu piśmiennictwa, czytelnictwa, bibliotekarstwa, a także – fragmentarycznie – innych wariantów komunikacji publicznej: w układzie światowym, europejskim i czeskim. Są tam również ślady polskie, na co mógł mieć doradczy wpływ prof. dr

hab. Grzegorz Nieć z krakowskiego Uniwersytetu Pedagogicznego, pełniący funkcję recenzenta.

Takiej publikacji nie spotkałem jeszcze nigdy. Oczywiście: każdy ma w głowie jakiś chronologiczny rejestr wydarzeń uświadamianych. Ale jeszcze tak nie było, żeby zapanować nad całością, dodając racjonalne uzasadnienie, stworzyć rozumne relacje i wypracować ponadczasową referencję syntetyzującą. Tymczasem Trávníček to właśnie zrobił.

To jest swoisty indeks zdarzeń wybranych dosyć arbitralnie i generalnie trudny do zreferowania, bo odcedzające sitko już zrobiło swoje. Ale pośród treści, które z tego tekstu należałoby wydobyć na główny plan w pierwszej kolejności, moim zdaniem, samoczynnie rzuca się w oczy barbarzyński wątek niszczenia.

Mianowicie bywało różnie, ale nie ma takiego segmentu dziejów, w którym jedni faceci nie napadali na innych i oprócz zabijania oraz niszczenia nie palili by treści zapisanych. To przede wszystkim! Bez różnicy: znając je bądź nie i nigdy nie próbując zrozumieć. A gdyby ktoś pytał – bynajmniej nie nastal temu koniec. Co Thomson także zasygnalizował.

Z kolei Trávníček przytomnie dopowiedział, że przez 97% czasu swojej egzystencji ludzkość obywała się bez pisma. Oralność miała monopol zapewne do 3500 r. p.n.e., bo z tego czasu pochodzi odnalezione pismo klinowe z Mezopotamii. Musiało potem upłynąć sporo czasu, żeby następnie dopasowały się do siebie trzy konieczne obszary segmentowe, mianowicie: nadawczo/autorski – wytworowo/tekstowy – i odbiorczo/czytelniczy. A wraz z nimi okoliczności towarzyszące, więc motywacyjne, kompetencyjne oraz praktyka wyboru, przypisana do stosownych uwarunkowań społecznych. To nie odbywa się w ciągu miesięcy ani lat.

No więc to starożytność stworzyła korzystne okoliczności dla powstania pisma. Po Mezopotamii następne dostrzeżone i już linearne pochodzi z Myken z przełomu 14/12 stuleci p.n.e. Papier zaczęto produkować w Chinach w 105 r., zaś w trzecim stuleciu istniał już załączek kodeksu, ale to wszystko były dopiero początki, natomiast – rozstrzygające. Jednak największą rolę przełomową Trávníček – jak wszyscy – przypisuje Gutenbergowi, bo to ostatecznie druk otworzył drogę do masowej produkcji książki. Nawiasem mówiąc, w ZSRR długo upierano się, że twórcą druku był Rosjanin, Iwan Smera.

Do XIX stulecia przylgnęło określenie złotego wieku wydawniczego i czytelniczego. Miała wtedy miejsce także eksplozja produkcji czasopism i gazet, chociaż sama praktyka czytania wygląda na nieco przereklamowaną. Co jednak zdecydowanie ważniejsze: dokonano się zróżnicowanie przedmiotowe. Z perspektywy czasu widać swobodny liberalizm zainteresowań oraz podwiązanie pod kulturę mieszczańską.

Natomiast w XX w. pojawiły się nowe media. Najpierw telewizja, a potem internet i od razu wywołały lamenty nad redukcją czytelnictwa – które nadal nie milkną. Zwłaszcza odkąd (w 1975 r. ) do użytku weszły czytniki. Z drugiej strony: rynek opanowała książka tania, a umiejących czytać, w skali światowej, jest teraz więcej niż analfabetów. Zatem, chociaż to już nie jest (jak mówiono o stuleciu poprzednim) złoty wiek czytelnictwa, jednak silnego regresu czytania też nie widać. Natomiast jest inaczej: ma miejsce rozpad na czytanie pogłębione oraz powierzchowne.

Proponując taką syntetyczną konkluzję historyczną, przystąpił Trávníček następnie do charakterystyki kolejnych segmentów czasowych, które wyodrębnił. Co spróbuję tutaj odtwarzająco zreferować, zresztą wybiórczo i w ogromnym skrócie. Ale na początek zasygnalizuję odrębnie ów wątek rujnacyjny, rzucający się w oczy i dający się z tych rozważań wyodrębnić. Łatwo! No i to jest porażający sygnał ogólnoludzkiego, ponadczasowego barbarzyństwa.

Kiedy miało swój początek, trudno ustalić, ale Trávníček przywołuje 213 r. p.n.e.: wtedy nastąpiło masowe niszczenie zapisanych zasobów w Chinach. Po między 150 r. p.n.e. a 300 r. n.e. palono chętnie prorocstwa Sybilli, a w 47 r. n.e. spaliła się biblioteka w Aleksandrii – podobno nie bez udziału Cezara i Aureliana. Potem, w 303 r. Dioklecjan kazał palić książki chrześcijańskie, ale z kolei w 496 r. papież Gelasius I opublikował rejestr ksiązek zabronionych. Z nakazów zaś późniejszych papieży miało miejsce palenie talmudu.

W 1453 r. Turcy zdobyli Konstantynopol i w pierwszej kolejności spalili 120 tys. rękopisów. Pewnie: czemu nie. Skoro wkrótce potem, bo w 1492 r., hiszpański kardynał Jimenez kazał spalić 80 tys. rękopisów arabskich. Każdy ma więc dokonania własne.

Paleniem ksiązek, chociaż pojedynczych – w rewanżu za spalenie swoich – zajęł się nawet Marcin Luter w 1520 r., mimo że uważał piśmiennictwo za wartość niezwykłą. W roku 1559 wydano papieski spis ksiązek zakazanych – bez zaleceń palenia, bo może akurat brakowało zapalek – ale potem znalazły się jednak i w 1729 r. czeski jezuita Koniáš spalił od 30 tys. do 60 tys. ksiązek.

W monarchii austrowęgierskiej od 1798 r. pojawiały się liczne zakazy czytania oraz spisy prohibitów (a co z nimi robiono?) – dotyczące także ziem polskich, więc bezpodstawnie plecie się teraz o ówczesnym liberalizmie – ale jeszcze ostrzej od 1806 r. poczynął sobie pruski cesarz Franciszek I. Ale trzeba dopowiedzieć, że oprócz władców i funkcjonariuszy kościelnych, za eliminację piśmiennictwa zabierali się też inni. Oto w 1909 r. Filippo Marinetti w manifestie futuryzmu zapowiedział niszczenie muzeów i bibliotek. Gorzelnie oraz burdele jakoś mu nie przeszkadzały.

W ZSRR już w 1926 r. zakazano obiegu treści religijnych, a w dwa lata później Nadieżda Krupska zabrała się za standardowe kierunkowanie czytelniczych gustów. Na Ukrainie wyeliminowano obieg narodowego piśmiennictwa, co okazało się tym łatwiejsze, że miliony ludzi umarły tam wtedy z głodu. Z kolei w Niemczech od 1933 r. rozpoczęło się masowe palenie ksiązek niezgodnych z ideologią nazistowską. A w kilka lat później, już podczas wojny, Niemcy i Sowietnicy niszczyli książki niezależnie od treści. Po prostu tak sobie.

Już po wojnie, w 1950 r., Chińczycy, zajmując Tybet, spalili tysiące bezcennych ksiązek. Z kolei w 1968 r. studenci europejscy podczas różnych rewolt głosili hasła: żadnych ksiązek. U takich poststudentów medycyny dobrze jest leczyć się teraz, lub architektury – zamawiać projekty budynków. W roku 1973 Pinochet zarządził w Chile palenie ksiązek. Widocznie wiedział, co to takiego. W 1988 r. w Iranie wprowadzono ostrą cenzurę, zaś w Bagdadzie zniszczono centralną bibliotekę. Żeby nie było wątpliwości: w 2001 r. amerykańska Christ Community Church spaliła książki o Harrym Potterze.

Już? Ale gdzież tam. Oto w 2019 r. ks. Rafał Jaroszewicz z Gdańska palił książki – także o Harrym Potterze. Przeszedł kształcenie takie, jak my wszyscy, ale z całej tej edukacji zapamiętał tylko, do czego nadają się zapalki.

Jednak wcześniej musiało powstać piśmiennictwo – książki, gazety, czasopisma – żeby było CO podpalać. No i o tym, w ujęciu historycznym, z kompetentnym udokumentowaniem, Trávniček bardzo frapująco opowiada. Co w trybie wybiórczym spróbuję zreferować.

No więc wszystko zaczęło się zapewne około 3500 r. p.n.e. w Mezopotamii oraz w Egipcie; są stosowne ślady. Późniejsze, z 2000 r. p.n.e. pochodzą zaś z Krety. Osobnym trybem rozwijało się piśmiennictwo w Indiach oraz w Chinach, w Europie natomiast, dużo później: w Rzymie i w Grecji. Najpierw z obrządków wykształciło się pismo ideograficzne, a następnie pismo alfabetyczne – z przypisaniem jednej litery do jednego dźwięku.

W Europie w VIII i VII stuleciu p.n.e. rozwinęło się pismo łacińskie oraz zaczęto praktykować czytanie ciche, które lansował m.in. Seneka. Dużo później te sugestie powtórzyli cystersi. Postęp późniejszy był dosyć gwałtowny. Już w I stuleciu n.e. wynaleziono papier – ale w Chinach – natomiast kodeksy zaczęły częściowo wchodzić do użytku 200 lat potem.

Tak czy inaczej, to już wystarczyło do wspaniałych osiągnięć literackich, w XIV stuleciu naznaczonych przez Dantego, Petrarke oraz Boccaccia. Jednak za największe dokonanie w historii piśmiennictwa uważa Trávniček Gutenbergowy wynalazek druku z 1452 r. Ciekawe, że w swoim czasie identyczną opinię wyrażał Luter.

Jakkolwiek w XVI w. w Europie umiało czytać nie więcej, niż 3% mieszkańców, ale postęp był. W następstwie w Prusach wprowadzono w 1537 r. pierwszy egzemplarz obowiązkowy. Przy okazji autor sygnalizuje, że w 1580 r. powstała wydawnicza dynastia Elsevier, która istnieje do dzisiaj. Jednak jako klient powiem, że gdyby funkcjonowała tak, jak obecnie, to nie przetrwałaby nawet tygodnia.

W XVII w. pojawił się druk kolorowy i zaczęły funkcjonować pierwsze gazety. To był też początek powstania ogólnodostępnych bibliotek. W Skandynawii zaś rozpowszechnianie umiejętności czytania stało się powinnością ogólnospołeczną. Efekty widać do dzisiaj.

W drugiej połowie XVIII stulecia w Europie umiało czytać 60-88% mężczyzn, oraz 27-46% kobiet, w USA natomiast 95,4% białych, w Indiach zaś podobno 5,5% mieszkańców. Pod koniec stulecia oswobodzono produkcję książek w Rosji, zlikwidowano cenzurę w USA, a we Francji odnotowano autentyczną eksplozję czytelnictwa. Jednak z kolei w Niemczech rozpętała się dyskusja o szkodliwości czytania. Na marginesie tych zdarzeń, były też sensacje. W 1822 r. Champollion odczytał pismo egipskie, a w 1863 r. wydano *Żywot Jezusa* Ernesta Renana i zrobił się gigantyczny skandal, który poruszył prawie wszystkich. Czy jest dzisiaj możliwy taki tekst?

Po I wojnie światowej czytanie spontaniczne, czyli pozaedukacyjne i pozaprofesjonalne, w tym także rekreacyjne, stało się już praktyką rozległą. Na dodatek często pozarodziną. Czytelnikami modelowymi przestali bowiem być rodzice.

Swoją historię miała już także praktyka korzystania z bibliotek, ponieważ było ich coraz więcej, jak też mnożyły się wydarzenia okołobiblioteczne lub dla bibliotekarstwa ważne. W 1800 r. w USA powstała Library of Congress, w 1852 r. w Lipsku zaczęła funkcjonować pierwsza szkoła księgarska, w 1861 r. pojawił się pierwszy biblioteczny katalog kartkowy, a w 1876 r. powołano w Filadelfii pierwsze zrzeszenie bibliotekarzy.

Natomiast po II wojnie światowej zaobserwowano redukcję obiegu książki, zwłaszcza kiedy pojawiła się telewizja. Nie zapobiegły temu inicjatywy edycji taniej książki, jak choćby Harlequina w Kanadzie w 1949 r. Potem do użytku wprowadzono pierwszy mikroprocesor oraz pierwszy hipertekst. A już wcześniej (przedwcześnie?) Marshall McLuhan ogłosił koniec ery Gutenberga.

Jednak w 1983 r. odnotowano, że 55% mieszkańców USA czyta wszystko, 27% beletrystykę, a 17% non-fiction. To zatem nie były statystyki złe. A ogólnie w czytelnictwie przodowała Skandynawia. Ruszyło się też w ZSRR, gdzie od połowy lat 80. XX w. zaczęto wydawać autorów dotychczas zakazanych.

Podaż istniała nieprzerwanie. Ponieważ, zdaniem Trávnička, pisarzy na świecie jest ok. 8500, a więc całkiem sporo i pisać jest komu. Co nie przeszkadza, że w 2002 r. w 15 krajach europejskich 42% mieszkańców nie przeczytało ani jednej książki, a – przykładowo – na Węgrzech zasięg książki z 72 spadł do 40%. Można przypuszczać, że późniejsze redukcje zasięgu też były znaczące odkąd pojawiły się audiobooki, a sieć zawojowała Wikipedia.

Z drugiej strony: zasięg książki np. w Czechach utrzymał się na poziomie 83% mieszkańców (jak w Skandynawii). U nas – 38%. Różnica dramatyczna! Jednak we wspólnym państwie czechosłowackim czytelnictwo Słowaków kształtowało się na poziomie 28% obywateli.

W swoim „kalendarzu” Trávniček nie popada ani w przygnębienie, ani w euforię. Stara się ustalić jak było i jak jest, sygnalizując sumarycznie, że w historii ludzkości wydano ponad 190 mln. książkowych tytułów. Przywołuje smutniejsze i pomyślniejsze dla książki oraz dla czytelnictwa zdarzenia.

Jak będzie dalej, tego na razie nie wie nikt. Są uśmierczacze książki, ale są również animatorzy. Którzy sygnalizują, że w USA aktualnie czyta książki znacznie więcej osób aniżeli przed koronakryzysem. Okoliczności oraz ich skutki są więc rozmaite. W tej książce przytomnie i trafnie wychwycone.



#### KSIĄŻKI Z OBRAZKAMI [\*\*\*\*]

Jake Hope: *Seeing Sense. Visual literacy as a tool for libraries, learning and reader development*. London: Facet Publishing, 2020, 195 s. ISBN 978-1-78330-441-7.

W ogólnych sygnałach wydawniczej apokalipsy zapowiada się całkowity zanik książki jako takiej, ale bez konkretnych, uszczegółowionych odniesień do zamieszczanych w książkowych zasobach różnorodnych przekazów semiotycznych. To znaczy, że bez sprzeciwów zakłada się, że wraz ze śmiercią książki pisemnej i drukowanej, w niebyt odejdzie również książka ilustrowana. Nad tym nie zastanawia się nikt i nikt temu nie poświęca uwagi.

Taką mamy okołoksiążkową niby refleksję i taki jest stan niby nauki, nie wiadomo po co ani dlaczego nazywanej (czyżby już nie?) bibliologią.

Komentarzy na ten temat rzeczywiście w nadmiarze nie ma, dlatego zwracam uwagę na ciekawą książkę, w której angielski autor Jake Hope próbuje uporządkować stosowną wiedzę, oddzielając pogłoski od realiów. To jest mądry praktyk,

specjalista ze strefy bibliotek i książek dla dzieci, współredaktor czasopism „The Bookseller” oraz „Books for Keeps”, laureat szeregu nagród dla ilustratorów, zatem wie o czym pisze.

W refleksji głównej zwraca uwagę, że o ile słowa sygnalizują w książkach relacje przebiegu zdarzeń w czasie, to ilustratorzy demonstrują przestrzenie, zatem razem układają się to w narrację spójną. Ikonografia wzbogaca i dopełnia język pisma. Oraz ułatwia porozumienie, ponieważ obrazki nie wymagają dodatkowych objaśnień, a i dymki dialogowe (jeżeli są) dają się odczytać bez trudu. Ten obrazkowy obszar transmisji co najmniej wzbogaca przekaz pisemny, jednak w ocenach obserwatorów bywa (niepotrzebnie) deprecjonowany – mimo że w trybie wizualnym można wszak wyrazić także treści pośrednie, symboliczne i głęboko konkluzyjne.

Hope konkretyzuje trzy funkcje odbioru wizualnego: inspiracje ogólne – przejęcie relacjonowanych treści – oraz sugestie działań konkretnych. Nie wątpię, że ma rację. W czym to jest gorsze od funkcjonowania przekazów pisemnych?

Udział ilustracji w książce, jeśli takie są, bywa rozmaity: od śladowego, nawet po dominujący. To oczywiście zależy od rodzaju książki.

Na ogół jednak w tym trybie uwagę przykuwa przede wszystkim okładka, zwłaszcza jeżeli jest kolorowa, bo to – obok tekstu pisemnego oraz ilustracji wewnętrznych – „trzecia siła”. W jakimś stopniu wszyscy oceniają wstępnie książkę (obiekt) według okładki. Liczą się zestawienia kolorów, a bywa że nawet połysk. Bowiern świat barw to jest swoista forma wyrazu, a nierzadko czytelna informacja.

W praktyce czytania dziecięcego odbiór ilustracji często wyprzedza odbiór tekstu i cały proces przyjęcia treści spowalnia, ale nie ma w tym nic złego. Dzieci radzą sobie z tym już od trzeciego-czwartego roku życia. Wcześniej zaś mogą zaprzyjaźnić się z książką, właśnie z ilustrowaną i barwną, bo już od pierwszego roku życia postrzeganie nie jest gorsze aniżeli u dorosłych.

Także rodzice w czytaniu domowym chętnie wspierają się ilustracjami, a z upływem czasu następuje powiązanie z alfabetem. Dialogi (bywa) znajdują wsparcie w dymkach wypowiedziowych, które nieraz odbiera się łatwiej. Ilustracje pomagają też zrozumieć słowa i pojęcia trudniejsze, rysunek dopowiada bowiem skonkretyzowane wyobrażenia, a czasami sygnalizuje też struktury oraz konteksty, które w relacjach werbalno-piśmienniczych nie występują.

W książkach z ilustracjami, a tym bardziej w czasopismach i gazetach, ma miejsce wysoka synergia słów i obrazów: to szczególny, autonomiczny tryb komunikowania. Istnieje nawet osobne pojęcie i autonomiczny rynek periodyków kolorowych. Ale i rynek książki ilustrowanej jest – zdaniem autora – wyodrębniony oraz stabilny i silny. Jednak pod koniecznym warunkiem, że autorzy, ilustratorzy oraz wydawcy dobierają się trafnie i mądrze. Trochę wygląda na to, że właśnie tak jest. Niejaki regres odnotowano tylko na czasopiśmienniczym rynku komiksów, który osiągnął apogeum w latach 1930-1950, a potem było nieco gorzej. Jednak to jeszcze nie jest zapaść.

Natomiast trzeba dopowiedzieć, że funkcjonowaniem, obiegiem oraz odbiorem ilustracji nauka zajmuje się rzadko. Nawet prasoznawstwo, więc tym bardziej inne nauki o komunikacji. A już bibliotekoznawstwo prawie wcale.

Z nielicznych analiz angielskich wynika (2017 r.), że w ilustracjach książkowych postacię męską występowały dwukrotnie częściej niż kobiecą, natomiast



w USA stanowiły 53%. To duża różnica. W ogóle zaś w podaży ilustracji dla dzieci utrwały się stereotypy. W obrazkach skierowanych do chłopców przeważa tonacja niebieska, z dominującą tematyką (no jakże inaczej) piłkarską. Dla dziewcząt zaś: dominuje kolorystyka różowa, z wrózkami w rolach głównych. Czy jedni i drudzy to rzeczywiście kochają, to już inna sprawa.

Podtrzymaniu książkowego ilustratorstwa, głównie dla dzieci, służą rozmaite wyróżnienia, które Hope obficie wymienia, ale nie pochodzą z najwyższych półek. Przeważają honorowe medale, bez gratyfikacji finansowych. W Anglii pierwszy taki medal przyznano w 1956 r. Dopiero później pojawiły się także wyróżnienia finansowe. Również w 1956 r. w Australii przyznano po raz pierwszy nagrodę Children's Book of the Year w kategorii Picture Book. Od 1966 r. przyznawana jest Bologna Ragazzi Award także za książkowe ilustracje, a od 1967 r. odbywa się biennale książki dla dzieci w Bratysławie, gdzie w 1971 r. został wyróżniony Andrzej Strumiłło. Od 1985 r. przyznawana jest McMillan Prize, od 2011 r. Excelsior Award, od 2016 r. Klaus Flugge Prize, a od 2018 r. w Chinach Little Hukka Award. No więc trochę tego jest.

Przy mądrej współpracy ilustratora i autora, ilustracja często konkretyzuje sens narracji albo pobudza do ukierunkowanego nadbudowania refleksji. Hope kładzie na to nacisk, wychodząc od praktyki własnej. Bo w ten sposób można wzbogacić odbiór i rozwinąć dyskusje czytelnicze oraz biblioteczne w powiązaniu z książkami. Jak też generować biblioteczne ekspozycje i mniejsze wystawki, inspirując się książkowymi ilustracjami. Z powiązaniem tematycznym, a nawet kolorystycznym. Ponieważ są łatwe w realizacji oraz niedrogie.

Hope, chociaż nie bibliotekarz, uważa że książkowa ikonografia może bibliotekom przydać się na różne sposoby: nawet w formie grafitti – na ścianach biblioteki bądź na zewnątrz bibliotecznego budynku. A w formie przykładu przywołuje rozbudowane przedsięwzięcia Biblioteki Narodowej w Seulu, gdzie zainstalowano mobilny świat audiowizualny ze specjalną techniką narracyjną, interaktywną scenerią oraz bardzo różnymi relacjami z publicznością. W szczególnej aranżacji może to dzisiaj wyglądać niesamowicie.

Ale oczywiście w potocznej codzienności niekoniecznie tak jest. W każdym razie odbiór ilustracji może kanałem wizualnym wzmacniająco inspirować świadomość, ma bowiem specjalną siłę kreatywną. Łączy się z różnymi wariantami nośników treści – trochę ich w piśmiennictwie wszak jest – pobudza więc wiele rozmaitych obszarów odbiorczych, zatem działań bibliotecznych również. No i to trzeba wykorzystać.

Ilustrator pracuje intuicyjnie – powiada Hope. A pisarz to niby nie? Trochę bierze z własnych doświadczeń i odczuć, a częściowo – ze współpracy z autorem, wydawcą, redaktorem oraz (bywa) z czytelnikiem. I to może być wysoce produktywnie. Dlatego dobra książka z ilustracjami jest nieraz świetnym narzędziem transmisyjnym. W żadnym przypadku nie można jej w tej funkcji przeoczyć.



### O CZYTANIU: SPOSTRZEŻENIA I BREDNIE [\*\*\*]

*Ot cztienija – k tworczestwu żizni.* Red. S.A. Dawydowa. Wybór i układ K.S. Stiepanowa, W.W. Jałyszewa. Sankt Peterburg: Izdatielstwo Rossijskaja Nacionalnaja Bibliote-ka, 2019, 172 s. ISBN 978-5-8192-0565-5.

Biblioteka Narodowa w Sankt Petersburgu regularnie organizuje konferencje poświęcone bibliotekarstwu oraz czytelnictwu, z udziałem referentów i dyskutantów z krajów ościennych, ale w zasadzie tylko z dawnych republik radzieckich. To ułatwia porozumienie przez język rosyjski oraz zapewnia niejakię zbieżności ujęć. A po fakcie ma na ogół miejsce książkowa edycja konferencyjnych wystąpień i zdarzało się, że teksty bywały interesujące, co już w „Przeglądzie Bibliotecznym” sygnalizowałem.

Oto więc kolejny z takich sprawozdawczych tomów wieloautorskich, ale tym razem dość mizerny. Połowa tekstów – tak jak i referatowych wystąpień – nie powinna była w ogóle wyjść na światło dzienne, bo to jest całkowita mielizna myślowa i referencjalna, sprowadzona do bezproduktywnego bełkotu. To bardzo źle, bo ta biblioteka w ogóle jest dobra – zdarza mi się korzystać – i jej publikacje bywały już wartościowe. Tym razem tylko raptem trzy wystąpienia rzeczywiście budzą zainteresowanie; jest jeszcze kilka nijakich, ale połowa (dziewięć) nie nada się do niczego. Jak to ocenić sumarycznie?

Poza tym nazywanie konferencji oraz tomu sprawozdawczego międzynarodowymi to jest wciskanie kitu. Dyżurną zagraniczką jest Nadieżda Heriak z Estonii, której zresztą nie zweryfikowano nawet opublikowanego tekstu. Raz zatem w wypowiedzi figuruje wiadomość, że biblioteka w Tallinie obsługuje pół miliona użytkowników, zaś o kilka zdań dalej jest doniesienie że to 230 tys. – dostrzegam różnicę – a jedno i drugie wygląda na kit, bo to jednak Estonia, a nie Chiny. A w wielu innych wypowiedziach i tekstach nieczytelny bełkot miesza się z bełkotliwą nieczytelnością.

W swojej symbolicznej ocenie trzy gwiazdki waloryzacyjne przypisałem – nie bez wahań – za dwa teksty bardzo dobre oraz jeden doskonały. Może to przesada, a może nie.

W tomie zdecydowanie góruje jakością wypowiedź profesorów uniwersytetu kultury w Czelabińsku, więc nie centralnego – W. Askarowej oraz E. Zubanowej – na temat stanu czytelnictwa pokolenia cyfrowego. To ci, urodzeni w latach 1981-2003, oraz młodszy – po 2003 r. W Rosji oraz w USA mówi się o nich, że to jest pokolenie postpiśmiennicze – ucieka w internet. A dla czytania potrzebuje zachęty i pośrednictwa, więc biblioteki nie są od rzeczy.

Natomiast w odbiorze młodzieży nie potrafi skupić się dłużej na jednym wątku treściowym. Granicę przeważnie stanowi 15 minut. Nie tylko z tego powodu, sugestie literatury, funkcjonujące w sieci, Live Lib Book Mix oraz podobne trafiają do nich kiepsko, są bowiem zaadresowane do odbiorców starszych. Tak więc promocja niby jest, razem z konkretnymi podpowiedziami co czytać, ale nie wiadać, żeby to funkcjonowało. Stąd nowe pomysły na świeże badania elementarne: czytania krótkich impresji w formule *czytam*, oraz tekstów ultrakrótkich – do 700 wyrazów. Takie są plany obu autorek.

Z kolei prof. M. Sokołow z Europejskiego Uniwersytetu w Sankt Petersburgu, po przebadanie 2100 osób, konstruuje reprezentatywny model czytelnika, a właściwie czytelniczki. To inteligentna emerytka, której nie stać na kupowanie książek oraz nie potrafi obchodzić się z komputerem. Przeważnie więc korzysta z biblioteki.

W innym pejzażu badawczym przeważała grupa osób w wieku 18-29 lat, głównie kobiet i w tym gronie na ogół radzących sobie z komputerami oraz w 60% korzystających z bibliotek. Blisko 70% osób przebadanych miało wykształcenie wyższe niż średnie, niewątpliwie zatem było to grono głównie inteligenckie. Wśród najpopularniejszych autorów pojawiali się: Bułhakow, King, oraz Marquez.

Z kolei szkolna nauczycielka E. Kalinina z Moskwy przyjrzała się czytelniczym praktykom uczniów kl. 5 i 6 w Moskwie. No i okazało się, że nauczyciele i bibliotekarze mają na wybór lektur wpływ niewielki. Rekomendacje, jeżeli akceptowane, to głównie domowe. Według sondażu, z bibliotek szkolnych korzystali chłopcy i dziewczynki (33-35%), a z bibliotek publicznych 20-22%. Jeżeli odjąć od tego deklaracje uprzejmościowe, to siła jest słaba.

Ponad 55% tych uczniów nie czyta gazet ani czasopism, więc też inspiracje stamtąd nie płyną ciurkiem. Mniej więcej tyle samo czytuje dłuższe teksty z ekranu, ale nie zamiast drukowanych. Tak więc, przynajmniej w tym doniesieniu, nie potwierdza się jakoby obieg elektroniczny zadławił czytanie z druku. W opiniach deklarantów w lekturze przeważają cele ogólnopoznawcze (56%) i szkolno-edukacyjne (51%), rekreacyjne natomiast lokują się nieco niżej (42%). Ale, jak na sondaż szkolny, nie jest to wizerunek apokaliptyczny.

Poza tym jest w tym zbiorze jeszcze kilka wypowiedzi, może nie nadmiernie odkrywczych, ale utrzymujących się na przyzwoitym poziomie referencjalnym. Oto N. Stefanoskaja z uniwersytetu w Tambowie porównuje wyniki badań czytelnictwa dzieci z ostatniego półwiecza w ZSRR, oraz sprzed czterech lat w Tambowie. Zasadniczych przeobrażeń niestety nie widać. Książki czyta tam obecnie 25% młodocianych, dominują cele edukacyjne i poznawcze (szkoła, zatem przymus), oraz rekreacyjne, natomiast zmienił się rejestr preferowanych autorów. To teraz J.K. Rowling i J.R.R. Tolkien, wśród rosyjskich zaś – krąg głównie szkolno-lekturowy. Inne jest też otoczenie lekturowych doradców: rodzice i bibliotekarze to już nie więcej niż 30% podpowiadaczy. Podobno przeważają decyzje samodzielne.

J. Galicki z uniwersytetu w Wiatce sugeruje z kolei, że przesłankami nauki czytania są teraz motywy emocjonalne oraz kreatywność – trudno uwierzyć, że tak sądzą dzieci – a także jeszcze szanse na późniejszy, samodzielny wybór lektury. Ale niby skąd to wiadomo, no i niekoniecznie wszystko klei się razem. Natomiast A. Stiepanowa i W. Jałyszewa z petersburskiej biblioteki (które ten tom skonstruowały), próbują reaktywować sugestie M. Rubakina, że czytanie ma być pożyteczne w życiu, czemu – ich zdaniem – aktualnie przeszkadza nadmierne przypisywanie czytelnictwu rozmaitych funkcji. W rozsądnym poszukiwaniu wyważonych w tym zakresie proporcji, mają pomóc biblioteki. Ale to bardzo drętwą konkluzją.

Jest jeszcze wypowiedź T. Sokołowej, też z petersburskiej biblioteki, sugerująca że w Rosji sowieckiej rozwijał się freudyzm, bo początkowo sprzyjał mu Trocki, a potem uważano, że to jest najlepsza droga do kreowania komunistów. I na tej bazie – rzekomo – tworzone programy dla bibliotek. Przyznaję, że niczego

takiego nie zauważyłem, ale autorka wie zapewne lepiej. Także o tym, że później lansowano też dociekania psychoanalityczne (także nie zauważyłem) oraz o eliminowaniu na margines uwagi Rubakina (to akurat zauważyłem). Cały ten nurt psychosocjologiczny doczekał się częściowego odrodzenia w latach 90. XX w., ale mało produktywnego.

Jest (wspomniana już) relacja N. Heriak z Tallina o bibliotekach estońskich, wewnątrznie sprzeczna, przynajmniej liczbowo. Oraz opowieść W. Istominej i J. Fiedorowej o współpracy centralnej biblioteki petersburskiej z biblioteką szkolną dla dzieci niepełnosprawnych, w której funkcjonują teraz materiały drukowane i multimedialne oraz jest sporo urządzeń odtwarzających. Podobno tak ukonstytuowana biblioteka radykalnie obniża lęki przed niepowodzeniem.

I na tym zamknąłbym rejestr wypowiedzi zarówno dobrych, jak też względnie godziwych. Cała reszta – połowa tomu – nie nadaje się do niczego.

Przede wszystkim dlatego, że to jest bełkot, niemożliwy do zrozumienia. Nikt temu nie postawił tamy na etapie werbalnym, a w wersji pisemnej – chyba nikt przed wydrukowaniem nie czytał. No i serwuje absolutne bzdety, niezależnie od tematyki, zarówno w relacjach o czytaniu z ekranu i o czytaniu rodzinnym, jak w zestawieniach czytania z wynikami w nauce. Oraz w refleksji, co w czytaniu wspierać. Wychodzi, że nic.

A już szczytem wszystkiego jest konstatacja, że redukcja stanu czytelnictwa może być oznaką wzrostu prestiżu czytania. Im mniej konsumentów sera, tym wyższy szacunek dla owiec i krów? Jakies granice głupoty powinny istnieć.



#### BARNAUŁ I BZDETY [\*]

*Strategii issledowanija informacionnyh resursow w kontekstie socjologiczeskoj paradigmy.* Red. A. Kowalewa. Barnauł: Izdatielstwo Ałtajskowo Gosudarstwiennowo Uniwersiteta, 2020, 139 s. ISBN 978-5-7904-2420-5.

Barnauł (630 tys. mieszkańców) to miasto na Ałtaju, ok. 250 km od Nowosybirska, zatem zlokalizowane dalej niż daleko. W tym świetle pomysł utworzenia tam wyższej uczelni, żeby młodzież nie musiała pętać się po całym kraju, mógłby uchodzić za racjonalny. Z tym jednak, że na uniwersytet, oprócz czterech budynków i 27 drzew, powinno jeszcze złożyć się grono osób jako tako w problematyce zorientowanych, a takich tam najwyraźniej zabrakło. Z tego, co widać, uczelnia tamtejsza zwodzi młodych ludzi, skazując ich na niby-edukację, pozorowaną od początku do końca. Tego później odkręcić się nie da.

Utworzony tam kierunek studiów informacyjno-bibliotekarskich oraz komunikacyjnych wysilił się niedawno na autonomiczną publikację książki i muszę z przykrością powiedzieć, że takiego dziadostwa, jakie zaprezentowało sześcioro autorów (jeden już nie żyje), ze wsparciem dwóch recenzentek oraz jednej redaktorki, chyba jeszcze nigdy w życiu nie czytałem. To jest nieprawdopodobny bełkot, serwujący jakies idiotyczne sformułowania, w rodzaju *mechanizmów socjalno-kulturalnych*, *motywacji socjocentrycznych*, jak też *kolektywotwórczych*

oraz *humanistycznoindywidualnych* przesłanek. Po ludzku nie jest tam napisane prawie nic.

Takich zwrotów jest tam zatrzęsienie, wypada zatem domyślać się, że studenci wkuwają to wszystko na pamięć, niekoniecznie ze zrozumieniem. Natomiast w książce próbuje się uwikłać to w jakąś treść. Gdzie na dodatek na wielu stronach, w długich zestawieniach, są przywoływane liczne nazwiska rzekomych znawców, głównie rosyjskich, o których nikt nigdy nie słyszał. Zresztą bez cytowania ich opinii, sformułowań albo ustaleń. Więc to jest wszystko do pustego zapamiętania. Horror! Poza tą listą trafi się czasami w tekście ktoś taki jak M. McLuhan, ale też nie ma wytłumaczenia, po co i dlaczego.

W intencji całego tomu – pewności nie mam – być może mieściła się analiza treści informacyjnych, preferowanych wśród młodzieży i ku takim objaśnieniom zmierzały kolejne teksty, ale głowy nie dam. Ponieważ same wymagały objaśnień, bo biły rekordy nieczytelności oraz chaosu. Wszystkie rozgadane, bełkotliwe i niezrozumiałe.

Napisano otóż, że aktualnie rolę masowego transmitera informacji przejęły media, ale nie wiadomo, jakie i ani w kolejnych komentarzach, ani w sygnalizowanym sondażu, takiego powiązania nie ma. Jest tylko gołosłowne stwierdzenie, że w ZSRR telewizja nagminnie serwowała (ale czy skutecznie?) propagandowy program informacyjny, a teraz zamierzenia zredukowano do lansowania uczciwości oraz społecznej użyteczności postaw. No i co? Oraz skąd taka opinia?

Następnie pojawia się pseudonaukowy bełkot na temat impulsu rozwoju, którym podobno jest konflikt oraz symboliczny interakcjonizm. W tym witalizm, co – z inspiracji marksizmu – powiązано z przesłankami biopsychologicznymi. Ja nie upieram się, że to ma sens, a tam tak właśnie napisano. Należę do pokolenia, które przeszło to pranie mózgu na wszystkie możliwe strony, toteż wszystkim współautorom tej książki powiem: niech was diabli wezmą.

Jest jeszcze jedno powiązanie. Mianowicie materialnego aspektu egzystencji, czyli białka (!?), z aspektem niematerialnym, a więc duchowym. Gratulacje dla tych, którzy to rozumieją.

W książce napisano ponadto, że w ZSRR głównymi powinnościami bibliotekarstwa było wsparcie rozwoju osobowości oraz zachowanie dorobku kulturalnego. Zwłaszcza w kolejnych akcjach selekcyjnych? Na podpałkę słyżki wszak tysiące tytułów. A wątku rozwoju osobowości nie zauważyłem również. Obecnie podobno jest inaczej. Zaczęto bowiem wdrażać ideę powszechnej transmisji informacji. No i to doprowadziło do... regresu bibliotecznej działalności. Dlaczego – nie wyjaśniono.

Kolejne teksty skaczą sobie swobodnie z tematu na temat, bez koniecznej dyscypliny. Jest więc oto nawiązanie także do edukacji, która (zdaniem autorów) do 1960 r. była w ZSRR przestarzała. Dopiero po tej dacie nastąpiło podobno kształceniowe rozdwojenie: na zadania indywidualne (osobiste) oraz na zbiorowe. Ale na czym to polegało i jak wyglądała realizacja nie ma w tekście ani słowa. Oto więc jeszcze jeden zesłaniany slogan.

Tak jak i sugestia, żeby w kształceniu bieżącym stworzyć podstawy samowychowania oraz nastawić się na nową kulturę społeczną. Może to i słuszne, ale co właściwie miałyby to być? Kaskada słów absolutnie pustych. Tego po prostu nie da się czytać.

Jest także niby refleksyjny odskok w kierunku nauczania odbioru literatury pięknej, w której – jak napisano – należy doszukiwać się problemów ważnych (dla kogo?), a jeszcze bardziej: aspektów społecznych. Autorzy lansują czytanie powieści w ujęciu psychologiczno-socjologicznym (koszmarne są nawet te określenia), jak poradników psychoterapeutycznych, a biorą pod lupę prozę Szukszyna oraz Rasputina, bardzo ogólnie i w sensie dokumentalnym. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że to przede wszystkim znakomita literatura.

Cały tom finalizuje sprawozdanie z badań (2018 r.) opinii uczennic i uczniów starszych klas szkół podstawowych na temat pracy, informacji o pracy oraz stosunku do różnych zawodów. Co zresztą bardzo trudno powiązać z wywodami poprzednimi.

Ale i sam sondaż jest zrealizowany po dyletancku. Przebadano raptem 240 osób, a na takie miasto to jest mniej niż nic. Żadnego doboru próby nie było. Przypadkiem liczby przepytanych dziewcząt oraz chłopców są zbieżne, zatem można byłoby sugerować, że miał miejsce dobór w trybie równych kwot – jest taki – ale potem żadnych wniosków według zróżnicowania płci nikt nie wyciągnął. Są natomiast różne inne zestawienia procentowo-liczbowe, jednak nie zgadzają się wzajemnie: to absolutny knot.

W hierarchii cenionych zawodów badani zdecydowanie preferowali lekarzy, policjantów (!?), w mniejszym stopniu nauczycieli oraz inżynierów i programistów. Za najważniejsze atrybuty pracy uznawali zaś dobre zarobki, stabilność zatrudnienia, jak też ciekawy zakres obowiązków. Największy wpływ na wybór zawodowych preferencji – to wszak jeszcze uczniowie – przypisywali sobie (57%) oraz rodzicom (33%), natomiast mediom niewielki. Ogólna panorama zatem, nie dość że w żadnym stopniu nie jest reprezentatywna, to na dodatek prezentuje się mętnie.

Jedni autorzy w tym tomie reprezentują Katedrę Relacji Społecznych i Reklamy (mizerna mizeria), a inni – Katedrę Bibliotekoznawstwa i Technologii Informacyjnych (też nędza). Jakość obu jest więc porównywalna: kiepska. Mamy to nieszczęście w szerokim wymiarze, że lgną do nas miernoty. Należy się bronić!

*Jacek Wojciechowski*

*Tekst wpłynął do Redakcji 20 listopada 2020 r.*